

Mit Milch

Mit milch!

Ich habe keine milch aufgefragt.

O, przepraszam. Zasłuchałem się. Miałem mówić o związku lamy z Dalajlamą, ale tak tu pięknie tego Czajkowskiego grają na parterze, że zupełnie zapomniałem o robocie.

Ale widzę, że już orkiestra się zwija w jeden, wielki, czarno-zielonkawy arraras. Zwija się - przepraszam - orkiestra w ten arraras razem ze smyczkami i dyrygentem. Dyrygent trochę wystaje swem brzuchem wydętem.

Jeszcze przed chwilą wywijał żywo ramionami, teraz siedzi w bezruchu jakby go zbombardowali. Dyrygent w tysej peruce w kolorze #FF0FF0. Do tego ubrany w gustowną bladoniebieską pidżamę w kolorze bladoniebieskim w niewidzialne kropki. Jedną miał na lewej tydce, a drugą na zapas. Nikt jeszcze trzeciej nie widział, więc istnieją solidne podstawy by podejrzewać, iż dyrygent tej orkiestry ma trzecią kropkę w planach. Wcałe niecnie, nie powiem!

Ale, ale! Ja się tu rozwodzę z żoną a czas leci. Właściwie to płynie. A tak naprawdę to jedzie pociągiem z Krakowa do Krakowa przez Pragę. I teraz właśnie ma opóźnienie. Rzędu n do dziewiątej kilowata gdzie n to liczba nierozsądna od 0.23 do 0.32 z wymionem równym 7 przez 51 dla trojga. Czyli coś w okolicach Piszportu. Bez zieleniny proszę.

(kup mi dżemu z dżdżu jak będziesz w Dżabar.)

Ale-ale! Ja się tu rozwodzę z żoną a czas leci! Gdyby czas częściej korzystał z chodnika niż z tunelu, miałbym jeszcze czas państwu opowiedzieć (**0:52 sztuczna mgła budzi się z letargu, wstaje i ucieka do lasu**) skróconą historię o moich germańskich znajomych. Mają oni bowiem w rodzinie sekretarkę. Jak do nich dzwonię z życzeniami z okazji moich imienin, zawsze ona właśnie odbiera i tym swoim słodkim głosikiem opowiada mi o sygnałach w marynarce pokojowej. I zawsze na koniec puszcza jeden prosty sygnał, który oznacza "nie będę dziś na podwieczorku z powodu krwawego powstania szczypiorku". Sygnał ten brzmi tak: *[5 sekund b. szybkiej i głośnej muzyki]*

Och! Ja tu państwu opowiadam jakieś żelbetony, a przecież państwo nie rozumie, bo to byt abstrakcyjny i stworzony sztucznie. W odróżnieniu od państwa przed radioodbiornikami. Państwo to całkiem konkretne osoby stworzone w sposób naturalnie boski, które to osoby w poszukiwaniu ulgi od prozy życia, zapuściły się w mroczne odchłanie globalnej sieci komputerowej.

Nic nie wiedzą sąsiedzi co na tym serwerze siedzi. A siedzi sporo. Aż przechyla się i dusi od

nadmiaru żywej wagi. Bo to siadła na nim familia chomików-gangsterów. Wiem o tym bo mam chody w serwerowni. Nie mówcie nikomu, bo mnie te chomicze rozbójniki zaraz przyprawią o ból głowy. I to zdrowy. A raczej bardzo niezdrowy. Bo śmiertelny. Każdy z chomików to zawodowy gangster. Jak mawia stary (od zawsze, on nigdy nie był młody, tym bardziej nie był nigdy dzieckiem) i mądry ojciec mafijnej rodziny: *[powoli]* eeee, chomilia! **(macie tempo jakby dyrygentowy wyciągali sierp z dupy!)**

Nasz reporter został znaleziony następnego ranka w wannie. W tej samej wanie znaleziono piękny, staroświecki toster. Najprawdopodobniej nasz reporter chciał zjeść śniadanie podczas porannej kąpieli. Znalazł go pająk, który chciał zjechać sobie spokojnie z sufitu kolejką górską (bo lubił długie przechadzki w świetle wschodzącego słońca).

Pająk zadzwonił po policję. Policja zignorowała sprawę. Miała bowiem na głowie zupełnie inną. Mianowicie poprzedniego dnia, wieczorem kanarek ambasadora marsjańskiego zachorował. Zamiast nadawać cyfrową telewizję jak to zwykł robić gdy był w dobrym zdrowiu, zaczął wydawać z siebie tylko krótki, koszmarny pisk, przywodzący na myśl tylko hordy nieokrzesanego ludu uciekające w panice przed sprawiedliwością.

Ambasador był bardzo bogaty, jako że dobrze mu płacono za jego ambasadowanie. Ziemia bowiem kupowała od Marsjan dużo piachu i pyłu. Towar najwyższej klasy.

Ambasadora stać więc było na wykupienie od państwa całej policji, wojska oraz służby oczyszczania miasta by ta zajęła się od teraz wyłącznie poszukiwaniem przyczyny zachorowania drogocennego kanarka.

Poszukiwania trwały dwa miesiące i dni sześć. Nie przyniosły niczego oprócz rebelii chomików oraz tajemniczej śmierci mało szanowanego reportera, który nie potrafił nigdy odpędzić od siebie komarów ani dygresji.

Zdesperowany ambasador postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Kupił oryginalny mundur khaki, do tego dwa żrebaki, bańkę mleka, jajek 10 deka, 30 białych murzynów, 15 zielonych skurwysynów, 4 gramy czegoś na wzmocnienie i bardzo wygodne siedzenie.

Tak zaopatrzony wysłał na marsa list do żony, w którym opisał tę właśnie historię, potem poszedł spać - następnego ranka miał wyruszyć w długą i niebezpieczną drogę. Drogę do Niebylekąd.

Tam bowiem na ośnieżonym szczycie góry mieszkał pewien mędrzec. Mawiano o nim, że jest jeszcze za młody i brak mu przyzwyczajenia siwej brody, ale i tak nikt od niego lepiej nie rozwiązywał chińskich zagadek matematycznych. Do mędrca tego - zupełnie nie siwego - wybierał się właśnie Ambasador marsa z nowo nabytą świtą. To dopiero farsa!

Jednak nigdy w drogę swoją Marsjański Ambasador nie wyruszył, bo gdy północ wybiła: w jego kanarku duch się nagle skruszył, i wydawszy ostatni pisk niemocy z siebie **[kanar.flac]** zaległ

zdechły na niemytej glebie (swojej klatki).

Proszem pana! Powiem prosto: poczebuję praktycznej porady! Pan polerujesz podwozia?
Prosz! Powiedz pan pierwej: piękna praca? Piękna przecie, piękna! Prosz! Pana pierwsze
proszę. (Pankracy) Pan...kra...cy... Prosz! Poniedziałek panu pasuje? (Pasi!) Pasi? Pięknie!
Podpisik prosz! **[słychać potworne skrobanie]** Przecudaśnie! Pan po policealce? Przed?
Piękniusio! Pozwolę pana podpytać: pierwszy pański projekt polerowawczy? Pierwszy! Prosz!
Pan praktykę pokazujesz pięknym pańskim podpisem! Prawie padłem patrząc (kaszele).
Powącham pańskie palce **[dźwięk zupełnie bez związku, najlepiej coś jakby piłowanie lub wiertarka]** Prosz! **[dźwięk jakby kogoś zarzynano]** Piękniusio!

Powiedz mi, czy nie miałeś tak, że patrzyłeś na świat pustymi oczami
Widziałeś ludzi chodzących bez celu i znudzony byłeś nawet marzeniami
Czy nie było kiedyś tak, że choć słońce napierdała blaskiem,
Ty cały toniesz w czarnych myślach i myślisz: jestem:

Pietrucha! Pietrucha! Pietrucha! Pierzucha!
Marchewa! Marchewa! Marchewa! Polewa!

Czy nie czułeś, że musi być coś więcej, oprócz keksu, żarcia i wielkich pieniędzy?
Czy nie tęskniłeś za czymś niewzruszonym, za prawdą, dobrem, ością, brakiem nędzy?
Powiedz, skąd bierzesz siłę by siedzieć na kiblu po raz dwu tysięczny siedemnasty?
Powiedz, skąd wiesz że dwa razy jeden to rachunek pierzasty?

Pietrucha! Pietrucha! Pietrucha! Kop ciucha!
Marchewa! Marchewa! Marchewa! Jedz drzewa!